1846. Nr 30. ROK 5.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

DRUGA NOWA PLANETA.*)

Do ważnych wynalazków w tym wieku w Astronomii poczynionych, należy bez wątpienia świeże odkrycie nieznanéj dotąd planety, któréj bytność P. Verrier, jeometra francuski, za pomocą saméj teoryi i rachunku przepowiedział i jéj miejsce na niebie Astronomom wskazał. Odkrycie to w Historyi astronomii będzie i z tego względu ważném, iż posłuży jako dowód i przykład pewności teoryi matematycznéj, do biegu ciał niebieskich stosowanéj. P. Verrier wziąwszy pod ścisły rozbiór rachunkowy drogę planety Uranusa, uważał, iż położenia jéj z rachunku wypadające, znacznie się różnią od położeń rzeczywistych, obserwacyą wskazanych; z czego wniósł, że przeszkody jakich Uranus w swym biegu doznaje, nie od innéj przyczyny pochodzą, tylko od planety nieznanéj za Uranusem położonéj, która przyciąganiem swojém sprawia odstąpienia dostrzegane. Przy pomocy trafnéj teoryi, i długiego rachunku, przyszedł do oznaczenia wielkości nieznanéj planety, jéj odległości od słońca, czasu obiegu, a nareszcie wskazał miejsce na niebie gdzie jéj szukać należało. W tym celu zrobił odezwę do tych-

*) Patrz Przegląd Naukowy z r. b. Nr. 7 str. 193 i następne.

Astronomów, którzy mają pod ręką wielkie lunety i teleskopy, ażeby zwrócili baczną uwagę na okolicę nieba przez niego wskazaną i ściśle gwiazdy małe badali. Jakoż P. Galle astronom przy Obserwatorium Berlińskiém, odebrawszy, d. 23 września r. b. listowne zawiadomienie o położeniu nieznanego ciała niebieskiego, tegoż samego dnia w wieczór za pomocą refraktora, odkrył nową planetę w miejscu przez Verriego wskazaném i jéj położenie ściśle oznaczył. Dnia następnego okazało się widocznie, iż nowa gwiazda ma ruch własny i zupełnie taki sam jaki jéj Verrier rachunkiem naznaczył.—Położenia planety, która się wydawała jak gwiazda ósméj wielkości, otrzymane przez Gallego są:

Dnia 23 września 1846 r. o godz. 12, min. 0, sek 15 czasu średniego Berlińskiego:

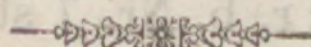
Wznoszenie proste planety	.	328°	19'	16"
Zboczenie południowe „	. .	13	24	8

D. 24 września r. b. o godz. 8, min. 54, sek. 41 czasu śred. Berl.:

Wznoszenie proste planety	.	328°	18'	14"
Zboczenie połudn. „	. .	13	24	30

Planeta znajdowała się na wschód względem gwiazdy S (*Delta*) *Koziorożca*, bieg jéj pozorny jest wsteczny od wschodu na zachód. Odległość jéj od słońca jest dwa razy większa niż Uranusa, a 36 razy większa niż średnie oddalenie ziemi od słońca, co wynosi 747 milionów mil geograficznych. Peryod około słońca kończy w 217 lat. Massa jéj jest blisko 40 razy większa od massy ziemi. W wielkich teleskopach będzie można i tarczę jéj widzieć. W Obserwatorium Warszawskiém pierwszy raz widzianą była ta planeta d. 1 b. m. i uważaną na południku d. 7. 9. 11 i 12 b. m.

Gdyby nie owa dokładność teoryi Verriego, możeby wiele lat upłynęło, nimby astronomowie tę planetę wpośród milionów gwiazd, i to przypadkiem tylko odkryli. Znajomość świata słonecznego coraz bardziéj się powiększa; starożytni znali tylko 7 planet, to jest te tylko, które gołém okiem mogli widzieć; my teraz znamy ich 13; i te są: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Ceres, Pallas, Juno, Westa, Astrea, Jowisz, Saturn, Uranus, i teraz świeżo odkryta, któréj Verrier dał nazwisko *Neptuna*.



MYŚL I TWÓRCZOŚĆ.

przez

FELIKSA JEZIERSKIEGO.

Wyobrażenie, pojęcie, a przedewszystkiém myśl,—są to wyrazy z języka światów wyższych—nie tylko nad rzeczywistość, nad życie materyalne, ale nad to wszystko co jest widome, lub pod jakąkolwiek postacią istnieje. Myśl jest może wynagrodzeniem człowiekowi za ciężkie brzemię dolęgliwości ziemskich; na jéj powietrzném ramieniu opieramy nasz byt, niedolą i nieustannémi bolami znękany i prawie ukrzyżowany. Bo prawda, żeśmy okropnie ukrzywdzeni. Dosyć zapatrzyć się z boku na uznanie indywidualne i utworzyć sobie ogólny widok rzeczy ludzkich. Umiérają nam bracia, przyjaciele, rodzice; pokolenia całe nas odumierają; wszystko dokoła zdradza nas i zapomina niegodnie. A jednak wtenczas niewidomie, zwolna, czasem i nagle w duszy powstaje reakcya na samo nieszczęście; tą reakcyą jest myśl, ogniwo tajemnicze, dźwigające nas i niejako zaczepiające w tamten świat! Gdy człowiek zginął już praktycznie, gdy umarł i pogrzebion dla stosunków towarzyskich, wówczas go myśl przyciąga swą dłonią i wabi do siebie z tamtego świata. Możeż ona być przemijającą, niewiekuistą?

Godzi się więc i należy badać naturę myśli, jéj zaród i przeznaczenie. Myśl toczy się od początku świata i bez końca toczyć się będzie w wiekuistém łonie rzeczy; jéj działanie jest powszechne, rozciąga się na wszystkie żywioły, i to co ludzie instynktowie nazywają siłą,

organizmem, jest tylko jedną, w różne formy osłonięta i różnémi stronami obróconą myślą. Krystaliczne układanie się kamienia, wzrost i kwitnięcie rośliny, ruch i życie zwierząt—są to rozmaite momenta rozwijającéj się myśli świata.—Myśl więc rozwija się, jak wszystko, co jest żywiołem, co swój byt i istotę swoję przelewa w zjawiska. Z porównania otrzymujemy niezawodny pewnik—doskonalenia się myśli.

Czyż można równać pojęcia Arystotelesa, Platona, z pojęciami Reinholda, Kanta lub Szellinga? Czyż z upływem wieków nie rośnie i nie rozwidnia się coraz daléj ten duchowy widnokrąg człowieczeństwa? A gdy tak jest, niepodobna przypuścić ciągłego postępu ludzkości, nie przypuszczając zarazem, że musi być tam pewien *pierwiastek*, co się w myśli rozwija; czyli inaczéj niepodobná nie przypuścić pierwiastku, *w którym się* rozwija cały świat ducha.

Myśl więc rozwija się *objektywnie* t. j. sama od siebie typem, bo inaczéj przypuściéby należało, że ludzkość doskonali się samorodnie, *po za* myślą, a zatém *bez* myśli. Z innego punktu nie może być wytłómaczone zjawisko cywilizacyi, czyli ciągłe posuwanie się społeczeństwa w elemencie prawdy, dobra i piękności; nie moglibyśmy pojąć tego najprawdziwszego faktu, że człowiek dziewiętnastego wieku, rodzi się istotnie doskonalszym od człowieka wieków średnich lub starożytnych. Myśl tedy rozwija się objektywnie (sama przez się); świat cały jest naczyniem tego wiecznego processu myśli, człowiek zaś naczyniem wybraném; czyli inaczéj: myśl ogólna, abstrakcyjna, oderwana *usamorodnia się* w człowieku; a co było tam martwym tylko mechanizmem, samą abstrakcyą—tu obleka się żywiołem i nabiera wysokiéj treści. Jak po niezmiernem łonie świata roztoczona siła cieplika i elektryczności krąży, niby krew odwieczna, po jego żyłach, i rusza ogromne massy w przestrzeni; tak i myśl krąży po żyłach ludzkości, popychając ją ciągle w zjawiskach. Ale myśl nie jest to tylko abstrakcyjna siła cieplika, jest to żywa treść człowieka, jest to sam materyał ducha; duch jest to byt złożony z myśli. Ona to grzeje i rozpręża mechanizm człowieczeństwa i pędzi go gwałtownie, wyrabia z niego rozmaite kształty historyczne, towarzyskie, uspółecznia massy i przeprowadza przez rozmaite doby oświaty; a wszystko to jest obliczem i skazówką widomą wielu rozmaitych i głębokich przejść myśli.

Z tego punktu uważając rzeczy ludzkie, dziwném byłoby wynosić się z tak nazwanéj indywidualności, marzyć o swojém osobistém, przemijającém *ja*, czuć, działać i badać *dla siebie*: trzeba tu tylko odgadnąć swoje stanowisko w ogólném zakresie świata i postępować po niém bez końca.

Jakież więc jest to stanowisko człowieka? czy ma on swoję jakąkolwiek rolę oddzielną, czy tylko chóralną w wielkiéj dramie postępu? Nie wątpliwa to i od wszystkich przyjęta prawda, iż człowiek zależy od świata i że w ciągłém zostaje zetknięciu z otaczającémi żywiołami, że te żywioły nieustannie się cisną i trącają w duszę, a echo ztąd rozchodzące się po niéj, jak po kryjówkach organizmu, wydaje piękną, niepojętą muzykę. Ja, duch—i byt mnie otaczający—są to dwa ostateczne horyzonty wszechświata, co się ścierają odwiecznie; człowiek reprezentuje bóstwo, rozum, nieskończoność, a natura coś innego, odmiennego, przedmiotowego. Ten ciągły stosunek nasz do świata dowodzi głębokiego między nim a nami pokrewieństwa. Rzeczywiście: jakże inaczéj pojąć i wytłómaczyć tak nazwany *wpływ natury na człowieka?* Bo ten wpływ nie tylko jest biernym, niewolniczym stanem ciała, wystawionego mimowolnie, przypadkowie na działanie przyczyn fizycznych, ciała, które, postawione niejako na przechodnim punkcie wszystkich sił świata, te siły, w przebiegu swoim ze wszech stron przecinają. Wpływ ten ma i stronę czynną, bo człowiek zatrzymuje w sobie owe siły, używa ich do przerabiania się w pierwiastkach swojéj istoty; w nim przepuszczone promienie życia rozkładają się jak w pryzmie, nabierają koloru i przenikają się jego treścią. O roślinie nawet nie można powiedzieć, aby była tylko martwém polem mechanizmu, bo i ta na działające z zewnątrz żywioły oddziaływa swoją żywotną dzielnością i z materyj płynących w siebie, rozmaite kształty wyrabia w tajemniczéj pracowni swego organizmu. Ta, odzywająca się już w roślinach własność oddziaływania swoją siłą żywotną, ten, ciągle dawany odpór zewnętrznemu ciśnieniu materyi— jest niejako początkiem subjektywności, *początkiem myśli.* Roślina przed rozwinięciem się, przebiegając tysiączne formy po niezmiernie drobnych stopniach, odłamując z siebie coraz nowy moment na kształt, kolor, ma także w tém coś swojego, właściwego, coby jéj podmioto-

wością, zjawiskiem jéj osobistości, coby wreście jéj wolą, myślą nazwać można. Gdybyśmy teraz, daléj badając tę istotę rośliny, zapytali, gdzie jest indywidualność rośliny,—gdzie? w jakim punkcie utajona jest owa siła odporu i popęd do oddziaływania na zewnętrzność? czyli inaczéj, gdzie jest środkowy punkt, z którego wysnuwa się cały wątek życia rośliny? Bez wątpienia tym środkiem nie może być żaden materyalny punkt, żaden atom, bo przypuścić niepodobna, aby taki odosobniony pierwiastek miał sam w sobie siłę wywołującą wielki process życia. Więc ideą rośliny, czyli jéj myślą jest ogólna siła roślinności. Z téj ogólnéj siły rozwijają się pojedyncze rośliny, ona tchnie na nich i wywołuje w każdéj z osobna popęd organiczny i niejako popycha indywidualności do opierania się cisnącym z zewnątrz napływom materyi. Każda pojedyncza istota w naturze rozwija się w imię ogólnéj idei świata, która w każdéj z nich z osobna dyszy zarówno, jak i razem we wszystkich. Jak w rozbitym kamieniu każdy kryształ zachowuje cechę i siłę całości jego, tak każda istota szczegółowie odbija w sobie całość rodzaju, do którego należy. A gdy tym sposobem jednostki roślin, zwierząt, minerałów w swoję ogólną, a te znowu w ogólniejszą zbiją się całość, wypada ztąd jeden wielki łańcuch życia wszystkich rzeczy, gdzie się wszystkie wspólnie, a każda indywidualnie rozwija i kołysze wiecznie w łonie przestrzeni. Każde królestwo natury ma swoję ogólną ideę (np. roślinną, organiczną); jest ona niejako ich reprezentacyą, w któréj się jednoczą, wzmagają i rozwiązują, która rozstrzyga główne istnienia ich warunki. Wszelka istota odosobniona, po za tą ogólną reprezentacyą, jest tylko złudzeniem. Ta róża, ten głaz, co się przedstawia oku praktycznemu, jako cóś rzeczywistego i samobytnego, jest tylko grą w mechanizmie owéj ogólnéj idei. I podobnym jest pod tym względem byt świata do historyi ludów. Tu bowiem każden wypadek, każde zjawisko, nawet najważniejsze, jest skutkiem wielkich zwrotów dziejowych, i samo oddzielnie uważane, jest złudzeniem. Każde ciało byt swój czerpa nie tylko blisko koło siebie; ale rozwijaniem się swojém wzbudza ruch innych ciał, a te znów wzbudzają ruch dalszy, i tym sposobem co chwila, otwiéra się nowy, powszechny ciąg życia i ruchu ciał wszystkich; byt jednéj istoty jest bytem wszystkich; tę ogólną, nieustanną pracownią, ten ogół

przecinających się wzajemnie ruchów materyi i kierunków siły nazywamy światem. Sprawiedliwie zatém i w głębokiém znaczeniu każdy przedmiot nazywają cząstką świata; inaczéj nie byłby on *kosmos*, t. j. nie byłby porządną i harmonijną pełnią stworzeń.

To samo stanowisko przystosujmy i do człowieka. Jest on cząstką ludzkości, rodzaju, a przezeń i świata. Jego byt nie jest samotny, bo zarówno, jak inne istoty, czerpa go z po-za siebie, z daleka, ze świata. Najmniejsza łódka czuje wzburzenie morza i kołysze się mniéj lub więcéj na każdy ruch fali,—człowiek podobnie. Być może, iż cierpienia nasze fizyczne, tęsknota i t. p. są również odzywającym się tylko w naszéj organizacyi bólem natury; może my każdą jéj zmianę, każdy jéj trud, każde przejście czujemy, tak jak ranę w najdalszych nitkach naszéj budowy. Nawet inaczéj być nie może, z tą różnicą, iż bliższe członki organizmu właściwego dolegają nam żywiéj, bo bezpośrednią mamy w nich władzę. Któż nie uznaje, jak silnemu parciu natury ulegają ludy, owo to mrówisko, które jakaś fizyczna siła świata wygrzawszy, wypycha na scenę historyi. Wówczas schodzą jedne po drugich na płaszczyznę historyi, ztąd, zowąd wybiegają, snują się, stają w massy i, kierowane rozlicznie, tłumnie się mięszają czynami. Spoglądając na kartę dziejów w jakimś wieku, na uwijające się społeczeństwa bez spoczynku, rzekłbyś, że jest parno w tym wieku; a gdy przyczyna, gdy ta siła odstąpi na stronę, ludy wracają znowu w dawne kryjówki, jak słabe żyjątka ku zimie. Również ważnym jest odpór człowieka na przyrodzenie: polega on na tém, że człowiek także, rozwijając się w swoim zakresie, pociągając ku sobie odpowiednie temu rozwijaniu żywioły, sprawia także jakiś ruch pierwiastków świata jednych przez drugie. Czyny i zjawiska życia ludzkiego sprawiają także ruch natury, mniéj lub więcéj wyraźny, stosownie do odległości, i roztaczają się w jéj głębi, jak koła od kamienia rzuconego w ocean, coraz wolniejsze i słabsze. Jest to myśl bardzo pocieszająca dla człowieka; pod jéj obronę uciekać się powinien w ciężkich chwilach zwątpienia o sobie. Natura *pojmuje* człowieka, bo on jest członkiem jéj ciała, więc i zaginąć w niéj nie może. Jest to tarcza na niewiarę, gdy zły duch skeptycyzmu podszepcze z ironią: „jakto? więc sądzisz, że twoje marzenia ziemskie, że niedołężny głos twojego rozumu i czu-

cia będzie dosłyszany aż na drugim brzegu świata?" On nie rozważył, że to, cokolwiek zamierzy człowiek, cokolwiek pomyśli, jest tak wieczném i nieśmiertelném, jak ten świat, co wypełnia bezdenną przestrzeń nieskończoności.

Ponieważ człowiek jest cząstką całego świata, bo bez niego świat jakkolwiek niezmierny, nie byłby całością, więc tu także musi być pewien moment, w którym się indywidualny byt jego uogólnia, musi także i on mieć swoję reprezentacyą, w któréj się wszystkie sfery jego życia jednoczą, wzmagają i rozwiązują, jak tam królestwo zwierząt, roslinności i t. d. Ta ogólna doba, czyli ta idea ludzkości ma być przytém nie tylko wyobrażeniem człowieka, ludzkosci, ale i całego swiata. Tą ideą ogólną, na którą ciągle uderza i od któréj napowrót odbija się świat cały, jest *myśl*, granica materyi, a początek drugiéj połowy bytu. Myśl, jak powiedzieliśmy wyżéj, jest to żywioł świata, rozlany po materyi, nakształt jednéj z wielkich sił płynących po żyłach natury. W człowieku jednak mysl uwydatnia się nad wszystkie inne siły, stanowi tam bowiem niejako ster rządzącego mechanizmu życia i środek ciężkości ducha. Myśl natury jest martwa, oderwana i nieosobista, myśl człowieka żywa, konkretna i samobytna. W naturze jest martwa, bo nie należy do indywidnalnéj istoty (np. do rośliny), ale do ogółu, do całego rodzaju, który się w jéj moc i pod jéj ogólném działaniem rozwija; jest oderwaną, bo sama zawarta jest cała w bezdusznym ruchu materyi, i tylko wynika z ich zbiegu; nieosobistą, bo o sobie nie wie i nie czułaby się nawet, gdyby nie miała materyału (substraktu), na którym się rozściéła i pracuje. W człowieku przeciwnie żyje i tchnie sama sobą, i wié o sobie, bo góruje nad materyałem. Gdybyśmy takiéj myśli nie mieli, jaką mamy, t. j. gdybyśmy nie posiadali zdolności odporu nie tylko na przedmioty zewnętrzne, lecz i na nas samych (na ciało, na myśli same; które możemy, równie jak i byt zewnętrzny oddzielać od siebie) mielibyśmy zawsze coś nakształt myśli, to jest uczucie samego siebie; ból, roskosz, tęsknota—byłyby jeszcze naszym udziałem; ale nie mielibyśmy uznania *całego siebie*, uznania wyższości nad nas samych, indywidualnie wziętych. Byłyby to uznania cząstkowe, jednochwilowe, ale żadnego rzutu na całość naszę, na przeszłosć i przyszłość. Ptak uciekający w cieple kraje przed nadej-

ściem zimy, rządzi się także myślą, lecz oderwaną i nieosobistą, bo ona działa przez niego, i on cały w niéj jest zawarty, popęd do pokarmu, napoju, do zachowania siebie (impetus sexualis), słowem instynkt jego, życie i myśl, jedno są i toż samo; w człowieku jest jeszcze tło pod instynktem, a tém jest *myśl właściwa.*

Okazuje się ztąd iż myśl jest wyobrażeniem świata, a zatém pojęcia nasze, idee—są reprezentacyą wszech rzeczy (universitatis rerum). Dla tego człowiek pojmuje świat, rozmyśla o zjawiskach i prawach jego, że sam jest tym światem. Człowiek ma w duszy ogół wszystkich rzeczy, a że nie może zawierać ich samych materyalnie, więc tylko ich typy, pojęcia. Trudno jest zapewne wyobrazić sobie praktycznym rozumem tę dziwną pełność ducha, tę, że tak powiem, arkę Noego, gdzie się chowają wszystkie rodzaje przedmiotów w ideale. A czyliż nie jest podobną tajemnicą zamknięcie całéj, ogromnéj rośliny w małém ziarnku, co, okiem niedojrzane, w ziemi spoczywając, wydyma potém z siebie kolosalną postać? Pojęcia tedy ludzkie są w duchu, jako w łonie ziemi, ziarnami całego bytu (pojęcia bierzemy tu za moment myśli saméj), zkąd przy rozwijaniu się człowieka wyrastają z ducha na zewnątrz, i tym sposobem uwydatniają się i stają duchowi na jaśnią.— Z tego stanowiska już się wprost wyjaśnia położone na samym wstępie zapytanie *o pochodzeniu myśli.* — Jest ona nie przemijającym utworem duszy, ale światłem wiekuistém, które świat nieustannym powiewem swoim rozżarza. To więc, co nazywamy zwykle wpływem natury, albo działaniem przedmiotów, tłómaczy się tu inaczéj: one ciągłym przechodem swoim przez duszę, trącają w głębokie jéj normy i różne wywołują z niéj tony. Gdy uznajemy przedmiot, uznajemy w nim samych siebie, po za sobą, lecz zawsze w obrębach duszy; bo świat jest dalszym ciągiem człowieka. Gdy się zagłębiamy w jakąkolwiek zagadkę natury, gdy dosięgnąć chcemy wewnętrznych własności przedmiotu, to znaczy, że pragniemy, aby ten przedmiot wrażeniem swojém przejął najgłębsze warstwy naszych myśli, i dna ich sobą dosięgnął.

Pojęcia *utajone* w łonie ludzkości instynktowie pobudzają człowieka do myślenia, bo idzie im o własne rozwinięcie się i dokonanie wy-

sokiego processu, którego człowiek, jest, jak powiedziałem, wybraném naczyniem. Rozum, ten dźwigacz mechanizmu myślenia, objawia się i doskonali objektywnie (jak w naturze tak i w człowieku). Myśl rozkłada swój process na niezmierny materyał, dany sobie do przerobienia; rozum więc, jako główne jego narzędzie, wié także instynktowie, czego mu do posuwania tego processu potrzeba. Wié instynktowie, t. j. nieosobiście, nie przez siebie indywidualnie, ale przez ukrytą w sobie moc myśli; przeczuwa, jakie formy do wielkiego dzieła postępu są konieczne, i w nie obleka wszystko co się nastręczy. Możnaby więc myśl nazwać objektywną stroną duszy; nie jest to bowiem zjawisko naszéj osobistéj woli, tak jak np. poruszenie się z jednego miejsca na drugie; jest to elektryczny przewodnik, przeprowadzony do nas z piękniejszych krain, który nas ciągle elektryzuje ideami tamtego świata, ale czasem sprowadzić może i pioruny. Myśli nie są naszémi indywidualnémi, bo się tworzą organicznie same i wyrabiają; ale są dla nas, bo się w nas wyrabiają. Osoby zmienią się, ludzie są przechodnémi meteorami na ziemi, tak jak wszystko, co powstaje; ale myśl zostanie i nad grobami kwitnąć będzie. Nie znaczy to, aby człowiek miał się unieśmiertelniać tylko przez myśli swoje, a reszta jego umiérała; taka bowiem nieśmiertelność byłaby tylko smutném igrzyskiem. Nie! to znaczy, że myśl jest samobytna, że to jest atmosfera wisząca nad nami, która i po nas zostanie, jako żywicielka. Mówimy np. że Kant, Szekspir rzucił wiele szczytnych myśli, był twórcą nowych pojęć, apostołem braterskich zasad towarzystwa; nazywamy go wielkim, gwiazdą swojego czasu. Prawda, tyle dla niego chwały, że on, a nie kto inny, lub że on pierwszy dosłyszał je, że pierwszy natrafił na złotą żyłę prawdy, dotąd nieznaną. Ale tworzyć myśli ex nihilo (z niczego), to próżne żądanie, to wyrażenie jest mylne. Właściwie twórczym t. j. z woli subjektywnéj tworzącym—człowiek może być tylko w momentach podrzędnych myśleniu; w myśli saméj nie ma twórczości, jest tylko *odkrycie*. Bo jakież znaczenie, jaką wartość mógłbym przywiązywać do swojego, zupełnie własnego utworu? miałbym czcić postać ulepioną własnemi rękami? Wyższym nad innych, a zatém twórczym nazwanym być może człowiek w porównaniu z innymi, który siebie widzi daléj i głębiéj, co idealnéj godności swojéj szuka nie zewnątrz,

nie w roskoszy saméj, ale w duchu, który umié odkryć to, co wszyscy widzieli prawie, obchodzili dokoła, a jednak nie poznali.

Myśl jest niemylnie pierwiastkiem samorodnym, ma swój własny zakres i tworzy się sama przez siebie objektywnie. Kto długo i wiele myślał, a przytém organicznie i głęboko, to jest: nie spuścił się na martwą wegetacyą duszy, ale badał, zdobywał z utajonych w sobie pojęć coraz nowe wnioski i pojęcia, ten uczuł zapewne, że myśl jest promieniem bóstwa, nieustannie płynącym z nieba na byt ziemski, i że jest aniołem-stróżem ludzkości. Bo ileż to uroku w tym czarodziejskim tajniku, w tém bujném, ciągłém dążeniu do rzeczy wiecznych, bezwzględnych? Gdybyśmy nie mieli myśli, tych skrzydeł, któremi wzbijamy się ze świata nad wszelką rzeczywistość, zostałoby tylko dźwigać sromotnie ciężki krzyż życia i uledz nareszcie, a nienażywszy się, przeprzepadać w nicość. — Myśl więc jest napojem żywota wiecznego i początkiem doskonałości nieskończonéj. Lecz, jeżeli myśl jest tém rzeczywiście, czém ją mienią materyaliści: siatką pajęczą, którą rozwijający się mechanizm życia tu i owdzie rozrzuca po naszym organizmie, a którą lada zmiana rozmiecie! jeżeli w istocie istnienie myśli tak jest wątłe, że się równo z życiem indywidualném rozchwiać, a najszczytniejsze systemy, owe planetarne zwroty ducha ludzkiego i czarodziejskim geniuszem wywołane obrazy poezyi w pył się rozsypać mają! w takim razie dla twórczego i badającego umysłu pozostałoby do wyboru: albo zrzeczenie się siebie i zatopienie najpiękniejszych popędów w rozkoszach ziemskich, albo ironiczne zwątpienie o wszystkiém.

Taki jednak smutny wniosek może paśdź tylko na ludzi, pojmujących myśl za cóś indywidualnego, osobowego, co towarzyszy czasowie i innym zjawiskom życia i z niémi się skończy na zawsze. Nie lepiéj, że jest zrzec się téj godności indywidualnéj, a wszystkie cechy owemu czasowemu bytowi odpowiadające, poświęcić, zostając przy jednéj, ale najpotężniejszéj stronie, t. j. przy myśli objektywnéj, samoistnéj, co i w nas wre i wrzeć będzie po wszystkie wieki w nieśmiertelném łonie ludów? Myśl tedy jest początkiem żywota wiecznego na ziemi, bo się nią namaszczamy na wyższą, nadziemską bytność, i bez

jéj pomocy idealnego świata zasięgnąćbyśmy nie mogli...... Skoro tak jest, a to mówi głośne przeczucie serca, skoro tak szczytnym darem jest myśl, dla czego ów biedny człowiek nie jest przeznaczony, nie ma zdolności do poruszenia wysokich zapytań metafizycznych? Zaślepia nas czasem ten barbarzyński ogólnik: szczęśliwy to człowiek, żyje w szczupłych obrębach praktyczności, nie wyjrzy nawet za żółwią skorupę ciała, nie wątpi o niczém, a gdy na świecie, w starganych badaniami umysłach powstają ciągłe, bolesne wstrząśnienia, gdy myślącemu całe życie iśdź trzeba po spadzistych drogach, per extentum funem dogmatyzmu, on zasypia spokojnie, bo nie myśli. Więc nie bolesnoż patrzyć, jak te od natury matki znienawidzone dzieci, wydziedziczone ze szczytnych popędów duszy, żyją małą tylko cząstką tego, coby w całości czuć i wyrabiać w sobie powinni! jak mały otwór mając sobie zostawiony ich ogień nieśmiertelny wygasać musi w duszącéj atmosferze materyalizmu, jak oddech ich musi być wstrzymywany przemożną siłą ziemskości? Być może, iż po horyzoncie ich duszy przemknie się też czasami blady płomyk natchnienia, i instynktowie wywoła jakąś tęsknotę do wyższych dążeń, ale istność ich tak już zwiędła i schorowana, że się jéj światło chwycić już nie może i zamiera. A kto wie, czy nie znajduje się jeszcze ukryte gdzieś stanowisko, z którego same nawet wyobrażenia ludzi, sama ich mądrość, tak błahą wydawać się musi, tak słabą, jak piana morska w porównaniu z potęgą oceanu, albo jak byt robaczka z olbrzymem.

Wszystko to naprowadza na domniemanie, iż myśl, ów idealny żywioł świata, a w człowieku dochodzący do wyższego rozwinięcia, nie jest jeszcze i tu nawet w ostatniéj swojéj potędze, że więc nasz byt indywidualny jest rzeczywiście początkiem dopiero i jakby pierwszym zwrotem do mającego kiedyś nastąpić *wielkiego przesilenia się myśli z materyą.* Dowodzi tego panujący wszędzie nierówny podział rozumu z ciałem, przedewszystkiém zaś ciągłe burzenie się i wzbieranie myśli nad materyą.

Główną jednością myśli i tłem całego mechanizmu umysłowego w życiu człowieka, jest uznanie, czyli moment zetknięcia się naszego *ja* z samym sobą. Przez uznanie w ogóle rozumiemy ciągłe powtarza-

jące się takie zjawisko, iż nasze ja, czyli nasza istność czująca, nasz duch popędzany ku przedmiotom zewnętrznym, odbija się od nich napowrót ku sobie, jak fala od brzegu. Uznanie więc, jako odbicie się ducha od świata, jest stanem nietrwałym, zmieniającym się, uznanie jest *ruchomém zjawiskiem*. Osobliwsza ta własność uznania (że jest ruchome i trwać niemoże), jest może jedną z najgłówniejszych przyczyn niedoskonałości pojęć ludzkich. Bo, dajmy na to, że ja chcę zbadać siebie samego, wybadać tajemnicze drogi tworzenia się wyobrażeń na pewnym danym elemencie. Patrzę na jaki przedmiot z rozwagą i zarazem pragnę wyśledzić, jak się w tym razie odbywa sam mechanizm rozwagi, pragnę w tym mechanizmie dojrzyć *siebie*, działania i przejścia mojéj myślącéj władzy. Umysł tu jest głęboko zajęty, i gdyby długo mógł potrwać stan jego natężenia, moglibyśmy zapewne dojśdź do obszernych odkryć psychologicznych. Ale, że tu wszystko odbywa się na *uznaniu* z natury *ruchomém*, że tło processu (rozwagi) ciągle jest trącane i chwieje się, więc czyż można cóś stałego, bezwzględnie pewnego osnuć na téj uginającéj się podstawie ducha? A tak pokój niczém nie zakłócony, pokój jest owym błogim warunkiem, do którego duch badawczy wzdycha niewstrzymanie, a który nigdy w tém życiu udziałem jego nie będzie. Niech więc wolno będzie człowiekowi tęsknić do jakiéjś szczęśliwéj przyszłości, kiedy mu żadna postać materyalna, żadna forma tego świata rozwagi przerywać nie będzie, i gdy w jego duszy spragnionéj uderzy pierwsza, nieskończona godzina rozwagi wiekuistéj.

Nie mniéj ważnym skutkiem ruchomości i nietrwałości uznania jest to, że nie będzie można nigdy rozwiązać wielkiego zapytania: co jest uznanie, gdzie i co jest właściwém *ja*, czyli ogniskiem istoty człowieka (gdzie nasza subjektywność?). Gdy ja poznaję jaki przedmiot, gdy się zapatruję na drzewo, na rzekę i t. p., czy w pojęciu, które mam o tém drzewie jest już zawarte całe uznanie moje, czy też przeciwnie jest oddzielném, osobném od tego pojęcia, jakkolwiek ściśle z niém zrośnięte? Przypuszczając, że uznanie nasze nie ma samoistnienia, że to wszystko, co w nas się tworzy, przerabia, nasze uczucia, wyobrażenia, popędy, są tylko życiem świata, nie naszém, że się w nas rzeczy

otaczające i świat cały przegląda jak w zwierciadle (tabula rasa), więc nie mamy i bytu, a wszelkie wyrażenia: ja, moje, czucie moje, cierpienie moje, wszystko to będzie fałszywém, zmyśloném. Więc w takim razie nie byłoby i cierpień, ból fizyczny byłby to zwichnięty stan nerwu lub jakiegokolwiek organu, i ten dotknięty organ dolegałby sam siebie, nie dotykając reszty,--a tu dzieje się przeciwnie: każde wrażenie trąca cały system organiczny, i ów stan pojedynczego członka przenika w głąb istności naszéj, i mówi się: że ja cierpię, ja czuję ból. Jest tedy w nas jakiś pierwiastek główny i rządzący, o który się wszystko opiera, i którego żadne zjawisko od świata przechodzące minąć nie może. Pierwiastkiem tym jest duch, a jego tkaniną, jego substancyą—myśl. Nie możemy odgadnąć, czém jest istotnie myśl, ponieważ zawsze ją widzimy w ruchu, w połączeniu z życiem, ponieważ jest zawsze osłoniona pewném pojęciem, zpod którego dojrzyć jéj nie można. Gdy na myśl, na ducha naszego, na to sanctuarium bytności człowieka, uderzy coś zewnętrznego (wrażenie), myśl zbiega zaraz w punkt dotknięty wrażeniem, i tam się zbiera cała, jak moc i ogień siły żywotnéj, w miejsce tknięte bolem organicznym. Im mocniejsze jest wrażenie, im żywsze i dotkliwsze powstanie pojęcie, tém się żywiéj i mocniéj w nie skupia (koncentruje) myśl nasza, a tymczasem uznanie oderwane od siebie tam także przechodzi i zaciera się. Jeżeli stojąc na jakim punkcie, mamy tuż przed oczyma pewien przedmiot, ten przedmiot zasłania nam cały odleglejszy widok; małym szmerem liści po których stąpamy, zagłuszony bywa szum odległéj rzeki lub odgłos silny muzyki. Dla czego tedy nie domniemywać się że i zaćmienie pojęć naszych pochodzi także z przyczyny prostéj, iż myśl ludzka stoi w cieniu za przedmiotami świata, które jako zbyt bliskie zasłaniają przed nią rozległy idealny widok wyższych światów. Gdybyśmy mogli przestąpić za obręb rzeczywistości, co nas oddziela od pięknego a nam przeznaczonego horyzontu mądrości, widziałoby się więcéj niż oko widziéć, i słyszało daléj, niż ucho słyszyć może.

Kto sobie potrafi praktyczny zawód ograniczyć i sprowadzić ciszę na całéj otaczającéj go atmosferze, ten dosłyszy daléj od innych. Przekonywa nas o tém doświadczenie codzienne, że głębokie badanie po-

trzebuje spokojnego stanu umysłu, samotność jest jego żywiołem, w gwarze i zamięszaniu jest on jak w duszącém powietrzu—ścieśniony, słaby i smutny. Tak więc trzeba ciszy, czystego oddechu, a nadewszystko przestworu, gdzieby się rozchodzić mogła i rozpływać w niewyczerpanym elemencie swoim. Myśl jest ów czarotworny kwiat paproci co daje moc widzenia w ciemności rzeczy ludzkich. Kto chce mieć myśl prawdziwą i głęboką, ten powinien przestąpić praktyczność i odsłonić sobie duszę tak, aby do niéj wprost padały promienie ze świata nadzmysłowego, nie łamiąc się i nie przekształcając się w zwodniczych zmysłach.

Konieczną potrzebą myśli jest mieć coś przed sobą, o coby się oprzéć mogła i rozbić światło swoje po przestrzeni. Inaczéj nie byłoby życia, lecz samo tylko zarodowe trwanie nieruchomych norm; myśl tedy opiera się na materyi i wyciska na niéj rozliczne piętna. Gdzie tylko jest kształt, gdzie jakiś rysunek w bryłach massy, w ziarnie, w kamieniu, w organizmie—tam jest myśl przez szczeliny organizmu wydobywająca się uporczywie. Ileż to jest materyi na saméj ziemi, która jeszcze nie doszła swego właściwego i ostatniego wykończenia, ileż jeszcze lądów nieukształtowanych, wód z nieustalonym kierunkiem, słowem—ile nie przerobionych jeszcze ogromów materyi! A jaka tam pracowita walka siły;—tu siła jest myślą świata, który się od wieków wykończa,—wykończa się zaś myślą, co ma wszystko w formy swoje wszechmocne pochwycić. Na tak ogromny pochód (process) myśli, natura łoży wieki, w gwałtownym ruchu pędzi massy w przestrzeniach, a rozum ludzki zdumiewa się na wspomnienie, jakie niezmierne formy tworzyć i jakie niezmierne koła zakreślać muszą te massy w łonie wieczności, nim się jedna, jakakolwiek część świata w pierwiastkach swoich wystoi. Tém bardziéj zdumienie wzrasta wspomniawszy, że i człowiek, że byt jego indywidualny, postawiony jest także na przeciągu tego wielkiego mechanizmu światów, że i jego myśl także rozchodzi się po materyi i konieczny musi mieć związek z całością wszech-rzeczy. Być może iż ten związek jest przechodnim momentem ducha, może duch z ogólnych praw świata musi, jak gąsienica, przebyć w tém zasklepieniu się materyą, nim mu przyrosną idealne skrzydła do szczy-

tnych polotów w nieskończoność. Im bliższą jest ducha otaczająca go materya, tém ciemniejszą rzuca na niego zasłonę. Najbliższém ducha czyli ogniska istności naszéj jest ciało, i dla tego w ludziach najwięcéj życiu zmysłowemu oddanych, najmniéj się objawia działanie myśli, bo jest zagłuszone grą sił organicznych, co nie zostawiają duszy jednéj chwili do odparcia od siebie napływów zewnętrznych i zatrzymania się w uznaniu. Gdy zewnątrz działa na nas jaki przedmiot, gdy trąca w organizm, rozchodzi się ztąd echo po całym organizmie, i to nazywamy czuciem, drażliwością. Że zaś działanie to nigdy nie ustaje, więc duch nie może wystarczyć, i jest w ciągłém poruszeniu. Duch bowiem nie może wyrywać się za każdém wrażeniem, gonić za promieniem oka swego, za głosem muzyki, za wonnością róży; wszakże ten wątek, to pasemko, co idzie od ducha do świata, nigdy się nie przerywa, i dla tego indywidualne uczucie siebie nigdy nie ustaje. Że czujemy siebie organicznie, że mamy władzę w zmysłach, to znaczy, że duch nasz dotyka się świata i wszech materyi; ale chcąc dostać do materyi, do otaczającéj go natury, sięgać musi po nią zmysłami. Więc inaczéj ciało nasze i zmysły nazwać można rękojeścią ducha, za którą trzyma świat w swéj mocy, a gdyby zmysłów nie było, brakowałoby tłumacza między naturą a myślą. Nie można powiedzieć, aby człowiek każdy, aby każda cząstka ciała miała zmysł w sobie i aby czuła przez się, ale tylko przez duszę, co w każdéj chwili zbiega się w miejsce dotknięte wrażeniem zewnętrznym; tak i cała natura nie czuje przez siebie, ale przez ducha, ten niby swój najdelikatniejszy nerw. Zmysły tedy są niejako łańcuchem przeciągniętym od bytu materyalnego, przez który ten byt coraz bardziéj się wyrabia, oczyszcza, ustawa i zamienia w pierwiastek myśli. Gdy bowiem odrywając się cząstki materyi działają na zmysły, sprowadzają wrażenie, to wrażenie późniéj zamienia się na pojęcie; gdy to, co było w naturze massą (ciałem np. kwiat) odbije się w oku, z oka wpadnie do duszy i przeobrazi, bierze w niéj lotny kształt pojęcia: czyliż ten process nie jest to ciągłe przeistaczanie się grubéj materyi w myśl? Bryły marmuru, spadki rzek i szum oceanu,—głębia świata całego obecną naszéj wyobraźni—musi tam pomieścić i miejsca nie zabraknie; bo tam wszystko

istnieje w obrazach, w odbiciu (w prototypach). „Ależ”, rzeknie kto, „to są tylko złudzenia, to gra zmysłów (naszéj subjektywności), wszakże oko ludzkie widoków, ucho głosów natury nie wyczerpuje, nie zmniejsza świata, bo on istniał i będzie w nienaruszonéj całości, jakkolwiek miliony zmysłów biorą z niego żywioł od początku świata.” Więc odpowiemy na to, więc myśl jest także złudzeniem, więc cała na niéj polegająca wielkość przeznaczenia ludzkiego jest snem w mechanizmie tworzącéj się i przerabiającéj przyrody? Rzeczywiście przedmioty nie zmniejszają się, ani ich żywioły nic nie wyczerpują się przez to, iż je myśl nasza ciągnie bezustannie ku sobie; bo myśl nie ima się tego co jest konkretném, cielesném w przedmiotach, ale chwyta samę myśl tylko w nich ukrytą, ów idealny pierwiastek przedmiotów. Natura tym sposobem idealizuje się w człowieku przez ulotnienie w jego ducha, przez to, iż on ją przejąć musi swym typem. I ztąd to dziko rosnące w naturze pierwiastki, tu siłą rozumu lub fantazyi—z martwego mechanizmu wywołane—nabierają łagodniejszych form; a gdy dłuto np. z zimnéj massy granitu zbuduje posąg lub piramidę, zdaje się, jakoby ten granit na raz za skinieniem mistrza, otrząsnął się z grubéj powłoki i ukazał nagle w całéj wielkości artystystycznéj. To wszystko działanie myśli; ona kieruje dowolnie zmysłami, a te pod tak mocnym kierunkiem i jéj ciężarem tłoczone ku materyi świata, prują głęboko piersi jego i naturze przemawiać każą mową człowieka. Wszelka twórczość, a przedewszystkiém sztuka, jest tedy uidealizowaniem się natury. Nie wypada jednak stąd, aby człowiek ze stanowiska swojego wprost, ze swojéj indywidualnéj woli i dla samego siebie uduchowniał naturę i tchnął na nią żywotworném światłem ducha; pochodzi to (idealizowanie natury) z rozlanego, po całém jéj tle, pierwiastku myśli, który ożywia materyę i pobudza massy do ciągłego rozwijania się, który, że tak powiem, wygrzewa materyę i wyprowadza z niéj idealne żywioły —myśl. Wszelkie pojęcia ludzkości, a przedewszystkiém ogólne (o świecie, o siłach) nie są li tylko urojeniem głowy, mrzonką (abstrakcyą) oderwaną od natury, ale są działaniem, wyrobieniem się jéj saméj, jéj ruchem i niejako powstaniem z twardego łoża materyi ku lepszym, doskonalszym formom.— Natura, gdy wpada przez zmysły

do duszy, widzi tam, jak w zwierciadle, swój typ piękniejszy i prawdziwszy, dla tego że widzi swój ogół (całość, jak np. roślinność całą, organiczność), który sam tylko jest prawdą, a reszta jest łudzącém tylko zjawiskiem. W naturze siła in brutto zamknięta jest w materyi i z nią spojona, w myśli dopiéro siła ukazuje się samorodnie, jako potęga rządząca mechanizmem życia. W tém znaczeniu człowieka uważać można za punkt, w którym tutejsze, tu nam znane życie istot, dochodzi najwyższego stopnia swéj mocy. Należy więc pojąć tę wyższość człowieka właściwie i z wielką ścisłością; nie można więc mniemać, jak wielu z badawców,—że człowiek jest to pewien historyczny w ciągu rozwijającego się świata moment, na którym natura zakończyła swój twórczy zawód, nie mogąc, czy nie chcąc daléj się posuwać. Owszem natura, nie chcąc, aby cokolwiek w jéj ogromném państwie było usamotnioném, oddartém od całości, zachowała w każdém dziele stworzeń dążenie do czegoś wyższego, ogólniejszego nad własny jego zakres,—tę zaś ogółowość czyli ideę (np. roślin) zostawiła istotom wyższym, pojmującym stworzenia w stanowisku idealném, ogarniającém. Umysł ludzki względem natury jest to najwyższa instancya, gdzie się zjawiska i pojedyncze własności rzeczy rozwiązują. Myśl ludzka, można powiedzieć, jest to ofiarny świecznik, w imię wszech istot ziemskich palący się przed tronem wieczności. Ponieważ tedy myśl, a ludzka przedewszystkiém, jest środkiem ciężkości, do którego ciągną wszystkie zjawiska, w którym się uogólniają i giną jako w celu tutaj ostatnim, więc wielkiéj wagi muszą być i zmysły ludzkie, przez które ten elektryczny ciąg myśli przechodzi. Nie ma zasady przypuszczać, że byt rzeczywisty, stworzony jest i przeznaczony dla indywidualnych celów myśli ludzkiéj, dla tego jedynie, aby człowiek miał o czém rozumować, dumać i marzyć. Ale można i należy przypuścić, że myśl ludzka przeznaczoną jest do odbicia w sobie całéj rzeczywistości, czyli jakeśmy się wyrazili poprzednio, do uidealizowania materyi. Środkiem do takiego przeistoczenia się materyi, środkiem jéj uduchownienia się w człowieku są zmysły—tajemnicze pasemka od materyi do ducha przesunięte. Gdy patrzę na jaki przedmiot (zmysłem), tu się zaraz za pierwszém wrażeniem, ten przedmiot w oko wpadaiący, rozkłada, tu się zawiązuje wielki process przerabiania materyi na myśl,

przedmiot ten otrząsa się z materyi, z ciała swego opada, coraz bardziéj lżeje i nakoniec ulotnia się, jest czystą, nieskażoną, niedotykalną myślą, pojęciem. Zmysł to dokonywa téj wielkiéj tajemnicy, że się ciało duchem staje, przedmiot myślą.

Gdy przedmiot jaki działa na zmysł, to znaczy, iż się ten przedmiot ma z pewnéj strony rozłożyć i niejako przetopić w tym zmyśle na inny delikatniejszy pierwiastek. Ztąd pomiędzy zmysłami panują pewne stopniowania, podług których jeden prędzéj i gwałtowniéj przerabia materyę na duch, a na to wpływa sama własność przedmiotu. Oko i ucho są królowe zmysłów wszystkich, przez nie, jak przez najdelikatniejszą szczelinę kapilarną to tylko wejśdź może, co najmniéj obciążone treścią—głos i forma. Inne zmysły są już bardziéj konkretne, zbliżone do materyi i tępe. Działania wzroku i słuchu są bystre, zaledwie zoczony kształt, ledwie zasłyszany dźwięk już w duszę przenika, już się z ciała wyłania i na jéj tle zawiesza. Inne jest działanie np. zapachu, tu mamy zupełnie materyalny process, tu się samą treść cząstkami od przedmiotu oddziera, czujemy wonność roskoszną lub odrażającą, ale trudno z téj tkanki urobić jakieś pojęcie. Gdy przedmiot wzroku już swego dopiął, przeniknął do głębi i promieniem swym nerw myśli poruszył, wtenczas jego obecność zbyteczną się już staje, można go usunąć, t. j. wziąć z przed oczu materyę, bo to co się w myśl przerobiło, ten zlotniony żywioł zostanie w umyśle. Inaczéj rzecz się ma z niższémi zmysłami. Tu wrażenie (np. z zapachu kwiatu) trwa dopóty, póki się ciągnie działanie przedmiotu, po usunięciu jego ustaje zwykle; takie wrażenie trudno w sobie odnowić w nieobecności samego przedmiotu. Wonne tchnienie jaźminu ulata, nie zostawiając długiego wrażenia; skoro zostanie usuniętym od zmysłu, kształt jego i kolor zostają w duszy, bo to są idealniejsze jego cząstki, a pamiątka przywiązana do jaźminu tém bardziéj, bo jest prawdziwie idealną cząstką kwiatu. Przez oko jest wchód do charakteru i serca człowieka, dla tego że w niém samém jest już coś niezmysłowego, jakiś pierwiastkowy zarys ducha. Wyższa zdolność umysłowa, twórcza lub moralna wielkość duszy, geniusz, naprzód uwydatnia się w oku; spojrzenie zimne, obojętne, bezbarwne nie wróży żadnego usposobienia wyższego.

U wszystkich prawie ludów zachowała się wiara w magiczną moc oka. „Urzekł mię złém okiem, spojrzał na mnie”—mówi nasz lud, głęboko psychologiczny, a północny słowianin mówi: „zoczył mię.” Ztąd to pochodzi, iż w chwilach natchnienia, lub zadumy, gdy się rozniecona myśl żarzyć zaczyna i nad ziemię ulatywać, w tych rzadkich chwilach oko dziwny przybiera wyraz, widzi się żywo, niespokojnie przebiegające światło i cienie, co naprzemian spadają na niego z horyzontu ducha. Równie ważne jest działanie słuchu, który nas wtajemnicza w wysoką dziedzinę muzyki. Dowiedziona własność silnego wpływu muzyki na duszę, a nadewszystko, tajemniczy związek tonów z uczuciami, naprowadza na domniemania o wielkiém pokrewieństwie myśli ludzkiéj z objektywną (nieuznającą się) myślą natury. Jak powierzchownie, jak płytko pojmować trzeba rzeczy, aby sądzić, że istniejący u ludów układ muzyki jest wypadkiem nałogu, nawyknięcia ucha (że jest konwencyjny). Estetyczne uczucie muzyki polega także na głębokich normach ducha, jak wszystkie inne zjawiska piękności; a jeżeli Chińczyk zamyka uszy przed piękną symfonią, a zachwyca się strojeniem, to dowodzi tylko, że w nim nie ma jeszcze dojrzałych władz duszy, bo i uczucie także ma swój wiek niemowlęctwa. Muzyka, to głos bytu, to mądrość wszechmocna z zimnego łona wywołana. Nie wchodząc w dziedzinę obcéj teoryi, uchwycimy tu jeden główny efekt muzyki, do naszego przedmiotu odnoszący się.

Jeżeli muzyka ma swoje prawa, a ma rzeczywiście prawa głębokie i niewzruszone, które się ciągle za przyłożeniem człowieka rozwijają, jeżeli wszechmocnie włada sercem, wzrusza, łagodzi, porywa, uspakaja, słowem przeprowadza duszę przez wszystkie sfery uczucia, więc ma także swoję myśl, co krąży na łonie głosów, tak jak siła żywotna w łonie pierwiastków ziemskich. Myśl ta jest w naturze, ale utajona i śpiąca. Wprawdzie wszystko co żyje, odzywa się pewnym, właściwym sobie głosem; tu idzie długie pasmo odcieni od harmonii planet aż do pisku płazów i ponurego szmeru oceanów. Ale nie ma jeszcze w naturze muzyki, to jest czystéj, uznającéj się zgody tonów, nie masz żywéj muzyki—saméj, oddzielnéj w sobie, otwartéj; jest tylko muzyka oderwana, zamknięta, nieosobista. Tu harmonijna piękność

zakryta jest innémi pięknościami: kształtem, widokiem, kolorem, wonnością; trzeba ją dopiéro wydostać, otrzymać przez wydzielenie elementów głosu. Więc głos natury objektywnie w niéj istniejący, potrzebuje czegoś, dąży do rozwinięcia się daléj, a to w uczuciu ludzkiém. Muzyka więc jest rozwinięciem myśli natury, jest organicznym momentem świata, i dochodzi w człowieku do wyższego stanowiska, bo się uduchownia, i idealizuje i przechodzi w czysty element myśli.

Ta zasada rzuca wielkie światło na dziwny, niezbadany stosunek głosów z duszą ludzką, i tłómaczy się ztąd cudowny wpływ muzyki na obyczaje i charakter ludów, wpływ uświęcony odwieczną wiarą wszystkich ludów.

Muzyka—jest to głos rozwinięty w elemencie ducha ludzkiego, jest to myśl sama, rozdzielna (artykularna), gdzie każden odcień ma swoje znaczenie, a przez swą moc ściśliwą przeszywa najdrobniejsze cząstki organizmu i w najmniejszy załom ducha się zakrada. Wpływ jéj nie byłby taki, gdyby nie była wewnątrz ożywiona pierwiastkiem idealnym, gdyby myśl w niéj ukryta nie spotykała się z myślą utajoną w człowieku: „similis simili gaudet.”

Ztąd przedmioty świata zewnętrznego z wielkiéj skali uważane, nazwaćby można symbolami ukrytego w nich pierwiastku myśli, a całą naturę, wielką allegoryą świata idealnego. Im dzielniejsze są, im żywsze kolory téj allegoryi, tém łatwiéj, mocniéj i głębiéj dotykają duszę i naprowadzają na tajemniczą myśl, co w niej leży od wieków zaplątana. — Ztąd to wynika wielka własność ducha ludzkiego, iż najmniejszy przedmiot natury, najmniejszy pyłek oderwany wiatrem od całości swojéj, może głęboko pociągnąć ducha w otchłań, a to dla tego, iż ten przedmiot, ten drobny ułamek oddartym od świata być nie może i myśl ciągnie na niewidoméj nitce,—i gdybyśmy najbardziéj go od świata odosobnili, owe tajemnicze wiązanie zerwane być nie może. A myśl może się najdrobniejszego punktu uczepić, bo przez środek wszech rzeczy—idzie jéj nieskończone pasmo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



OCENA

ROZPRAW O JĘZYKU POLSKIM I O JEGO GRAMMATYKACH,

tudzież

GRAMMATYKI JĘZYKA POLSKIEGO,

przez P. Jana Nepomucena Deszkiewicza napisanych.

(Dalszy ciąg.)

Zamiast przyimka *z*, przyimek *s*.

Autorowi naszemu podobało się przyimek *z*, rządzący przypadkiem 6tym zamienić na *s*.—Dowodzi on, że inne dyjalekty dwa te przyimki (*z* rządzący drugim i *z* rządzący szóstym przypadkiem) odróżniają, że my jedni tego przyjąć nie chcemy, (Roz. 229), chociaż niektórzy autorowie dawni pisali, chociaż Miączyński za tym sposobem przemawiał.—Mówi daléj autor, że Mroziński prawo dość niepewne i potrzebie jistotnéj nie odpowiadające postanowił. (Roz. 230.—Kiedy autor zbija Kopczyńskiego, że to jego prawidło: *jak się wymawia*, *tak się pisze*, jest nieprawdziwe; trzeba było podobnie okazać, że Mroziński się myli; ale to był trudniejszy orzech do zgryzienia, dla tego autor odrzucił go na stronę, mówiąc: nie ma w nim ziarna. — Mroziński czuł doskonale ducha swego języka, wiedział o różnicy tych przyimków w innych dyjalektach i znał wpływ jednych współgłosek na drugie; dla tego *z* nie zmienił na *s* i w końcu swojego dowodzenia, jak słońce, jasnego, aby jeszcze dobitniéj niedorzeczność tę na pośmiech wystawić, tak się wyraża: „Ten, ktoby dla miłości etymologiji zamiast *z makiem* mówił *smakiem*; zamiast *zławy* (zakrawający na złego) *sławy*; zamiast *częstowaliśmy się obydwaj z Markiem*, *częstowaliśmy*

się obydwa s Markiem (smarkiem); tyleby tylko zyskał, iżby go ani Polacy, ani Indyjanie nie zrozumieli. (Odpowiédź na Recenzyją str. 27). —Mimo to wszystko, P. Desz. odgrzéwa dziś zapomniane rzeczy i sprzedaje, jako rzecz nową, bo się tak wyraża: „Czyli nowy grammatyk może w pisowni rozróżnienie tych przyimków *z*, *że* i *s*, *se* zaprowadzić? zapytuję uczonych rodaków" (Roz. 230.). — To zapytanie P. Deszk. pokazuje, że nie zna natury współgłosek mocnych. Ta zaś jest taka: wszelka współgłoska mocna przemaga nad słabą, gdy obydwie do jednéj syllaby należą, to jest: że słaba musi się wymawiać brzmieniem odpowiedniéj sobie mocnéj np.: *twój*, *swój*, *przéć*, *chwiać*, *kwilić* (brzmią właściwie *tfój*, *sfój*, *pszéć*, *chfiać*, *kfilić*); a że *s* jest współgłoską mocną, przeto zmusza słabą do przejścia w wymawianiu na mocną i stąd tworzą się dziwolągi, które mają podobieństwo do mowy niemca, źle po polsku mówiącego, czego dowodzą przykłady z grammatyki autora zebrane.—„Te ostatnie zawsze się łączą *s* rzeczownikami (Gr. 209) (trzeba czytać, *s szeczownikami*). Więcéj *se* słowem, niż *s* głównym przedmiotem (Gr. 209) trzeba czytać: *ze słowem* niż *s klównym*). Dusznie więcéj ma związek *s* duszą, duszno *s* duchem, tchem (trzeba wymawiać: *stuszą*, *stuchem*).—Osoba piérwsza *s* zaimkiem (Gr. 265) (trzeba wymawiać: *s saimkiem*).—Jeżeli to przypuścimy i porównamy *s wzorami* (Gr. 311), (trzeba wymawiać: *sfsorami*)".—I czyliż P. Desz. nie jest czysty niemiec po polsku źle mówiący? Pokazuje się, iż popsuł mowę w czasie przekładu swéj grammatyki na język niemiecki.

Tu jeszcze wspomnieć należy, jaką szkodę wyrządziło nam prawidło Kopczyńskiego: *jak się mówi tak się pisze*. Pisarze nasi, odznaczający się sercem i głową, nie uważając w prawidle Kopczyńskiego na wyraz *prawie*, który i P. Desz. opuścić raczył, zastosowali je zupełnie do przyimków *z* (jeden rządzi drugim przypadkiem np. *z Boga*, drugi szóstym, np. *z Bogiem*) i stale obydwa zamienili na *s* przed współgłoskami mocnemi np. *s kościoła*, *s kościołem*, *s filozofa*, *s filozofem*, *s tatarki*, *s tatarką*, *s Petersburga*, *z Petersburgiem* i t. p.; a zostawili nietknięte *z* przed współgłoskami słabemi, np. *z gniazda z gniazdem*, *z wina z winem*, *z darniny z darniną*, *z Berlina*, *z Berlinem*; słowem, odpowiedzieli prawidłu: *jak się mó-*

mówi, *tak się pisze*. Krok ten mniéj baczny pociąga za sobą drugi podobny. Jeżelić tak piszącym podobało się zamienić *z* na *s*; komuś innemu przyjdzie do głowy zastosować to prawidło do przyimka *w*, który ma tę samę naturę pod tym względem, co przyimek *z*, i powié: wy możecie pisać: *s kościoła*, *s filozofa*, *s tatarki*, *s Petersburga*, ja mogę również pisać: *f kościele*, *f filozofie*, *f tatarce*, *f Peterburgu*, bo przyimek *w* brzmi jak *f*. Otóż są skutki przekręcenia prawidła Kopczyńskiego; Kopczyński zatém nic nie winien.—Ale ponieważ dziś nikt nie chce przystać na pisownią: *f kościele*, *f filozofie*, *f piwnicy*, *f sosie* i t.p.; niechże panowie piszący: *s kościoła*, *s filozofa*, *s piwnicy*, *s sosu* i t. p., raczą się poprawić dla dobra języka i pisać: *z kościoła*, *z kościołem*, *z filozofa*, *z filozofem* i t. p.

Zmieniony porządek w przypadkach.

Trzeba wiedziéć, że P. Desz. wielkie podług siebie uczynił odkrycie, zamieniając porządek przypadków, to jest: że czwarty położył w miejsce drugiego, a drugi w miejsce czwartego.— Do takiego widzimisię to mu służyło za zasadę, że dawniejszy przypadek czwarty wprost przez słowo odbiera działanie, np. *Autor ma rozum*. *Tu rozum* wprost bierze działanie od *autor*. Pytam się każdego, czy téż przypadek drugi nie ma téj saméj natury? np. *Autor potrzebuje rozumu*, wszakże tu drugi przypadek *rozumu* odbiera wprost działanie z ręki autora. Gdyby się autor zastanowił nad naturą słów; byłby się przekonał, że w polskim języku bardzo wielka jich ilość rządzi tym przypadkiem; nie robiłby zatém téj przemiany, aniby potrzebował ostrzegać czytelnika, że samodzielnie działał. Tak albowiem się tłumaczy: „Po wyjściu mojéj grammatyki z cenzury barzo się ucieszyłem, że Jordan w swojéj już tęż odmianę zaprowadził” (Gr. str. 13). P. Desz. ciągle zagadkowy; nie powiedział nam, kto jest ten Jordan, i chyba dla tego to uczynił, aby się znowu coś nie pokazało. Otóż, ile mi się zdaje, autor o tym Jordanie myśli, który zamierzył wydać grammatyki znaczniejszych dyjalektów słowiańskich w porównaniu i wydał już grammatykę języka polskiego. O układzie takiéj grammatyki, jako cząstki, nic stanowczego wyrzec nie można, dopóki całego dzieła nie ukończy, i dla tego sąd swój wstrzymuję.— Lecz wróćmy do P. Deszkie-

wicza, który oświadcza, iż Jordan tęż samę przemianę uczynił. Wręcz powiadam, że nie prawda. U Jordana w takim porządku idą przypadki: 1. 4. 2. 3. 6. 7. 5; u P. Desz. zaś: 1. 4. 3. 2. 5. 6. 7. Który układ jest lepszy? nie chcę wyrokować; to wiem tylko, że gdybym zamierzył zmienić porządek przypadków, zupełniebym inaczéj postąpił. Lecz jak?—nie mam potrzeby objawiać swéj myśli.

Końcówka *a*, *u* w drugim przypadku liczby pojed. rodzaju męzkiego.

Autor wyliczył (Gram. 29. 30) imiona nieżywotne w rodzaju męzkim, mające drugi przypadek (podług autora *czwarty)* w liczbie pojedynczéj na *a*, i ostatecznie dodał: „Chociaż prawdziwie nieżywotne niesłusznie się tak skłonnikują” (to jest *przypadkują*). — W wymienionych nie znajdują się wyrazy: *rodzaj*, *dészcz*, *owoc*, *śniég;* wnosićby stąd koniecznie należało, że i autor chce je kończyć na *u*, lecz przeciwnie przykłady zebrane z grammatyki pokazują np. *Rodzaja* żeńskiego kończą się i t. d. (Gr. 25). — *Rodzaja* nijakiego na samogłoski i t. d. (Gr. 25).— *Sniega* zbitego ogromna massa sformowana (Gr. 115).—Oddeszczne, narzędzie od *deszcza*—parapluje. (Gr. 176). Od *deszcza* płaszcz służy, to jest, że płaszcz oddala od *dészcza* (Gr. 232).—W znaczeniu dojrzewania *owoca musié* pożyczyć odmian od wzoru biernego (Gr. 370).—Co zatém napisał autor: „Wszystkie inne wyjątki od grammatykarzów podawane zwyczajnie nie są wyjątkami, ale tylko błędami, których wystrzegać się potrzeba” (Gr. 30) mimowolnie na siebie wydał wyrok; bo, jeżeli komu, to naszemu autorowi w niczém wierzyć nie można: wszędzie sprzeczności i same sprzeczności.

Dziwnym sposobem dwa imiona literacko-grammatyczne, od téj saméj litery zaczynające się, rozstrzeliły się z sobą i stanęły do zaciętego boju.—Jedno z nich każe mówić: *rodzaja*, *śniega*, *owoca*, *dészcza*, *grzecha*, *zwyczaja* i t. p.; drugie na odwet gotowe wszędzie i zawsze pisać: *tego talérzu*, *tego młotku*, *tego kotlu*, *tego kiju*, *tego krzemieniu* i t. p., dowodząc, że cudzoziemcom ułatwi się poznanie tego przypadku, który w nieżywotnych będzie się stale kończył na *u*, w żywotnych na *a*, i kwita.—Śmiem obydwom zarzucić, iż się

mylą i dla tego raczą w krótkości posłuchać o końcówce *a* i *u* w imionach nieżywotnych. Wszystkie wyrazy, które wewnętrzném swojém znaczéniem malują umysłowi naszemu *rzecz odrębną*, skończoną, któréj granice zakreślić możemy, mają drugi przypadek na *a*, np. *kija*, *kotła*, *łokcia*, *sążnia*, *cala*, *talérza*, *buta*, *noża* i t. p.; wszystkie znowu, które w wewnętrzném swojém znaczeniu wystawiają *jakiś zbiór*, *jakiś ogół*, jakąś *nieograniczoność*, których całości objąć i ograniczyć ściśle nie możemy, mają końcówkę *u* np. *bólu*, *żalu*, *oleju*, *prochu*, *grochu*, *grzechu*, *śniegu*, *owocu* i t. d. „Brawo! brawo! zawoła stronnik końcówki *u*. Żochowski się złapał i pod moje skrzydła się tuli! Wyraz *jęczmień*, *owies*, oznaczają zbiór; a więc *tego jęczmieniu! tego owsu! tego jęczmieniu*, *tego owsu!* a nie: *tego jęczmienia*, *tego owsa!*"— Cokolwiek cierpliwości, a rzecz rozstrzygniemy.—W pierwiastkowym języku jedna była końcówka; lecz, gdy późniéj zaczęły się tworzyć wyobrażenia nowe, malujące ogół, wprowadzono końcówkę *u*; jednakże w wyrazach takich, jak *jęczmień*, *owies*, *chléb*, które były w codziennéм użyciu u narodu rolniczego, końcówki nie tknięto. Czego zatém do dnia dzisiejszego ogół używa, a tém samém uprawnia i uświęca; tego jeden pojedynczy człowiek dla cudzoziemców nie ma prawa zmieniać. Znając tę rzecz przed ośmią laty, wyłączyłem *jęczmień*, *owies* od końcówki *u*, dodając te wyrazy: chociaż niekiedy *jęczmieniu*, *owsu* słyszéć się daje." — (Por. Części Mowy str. 90.).

Użycie współgłoski *j*.

Autor mówi: „*J* nigdy się na *i* nie wspiéra, jak niektórzy błędnie piszą np. *koleji nadzieji*" (Gram. 435).— Całe tu autora rozumowanie w tych wyrazach się zamyka; musiemy jednakże zobaczyć, kto ma prawdę. Okażmy najprzód mniemaną mylność na rzeczownikach. Powtórzmy tu odmianę rzeczownika *wola*, znajdującego się u autora naszego (Gr. 108) np.

L. p.	wol a	L. m.	wol e
	woł i		wól —(samo jądro wyrazu)
	wol i		wol om
	wol ą (ą z wyjątku)		wol e
	wol o		wol e
	wol ą		wol ami
	wol i		wol ach.

Każdy przyznaje, a autor musi przyznać, że to jest dobra odmiana, bo przepisana z niego; następnie każdy widzi, że *wol*, jako jądro wyrazu, stoi niezmienne, jak skała, i tylko końcówki *a i i ą* i t. d. stosownie do względów, jakie oznaczają, coraz inny kształt przybierają. Słowem, przeciwko téj odmianie nikt zarzutu uczynić nie może.—Skoro więc tego wyrazu odmiana jest dobra; musi być również taka, dajmy na to, wyrazu *szyja:*

L. p.	Szyj a	L. m.	Szyj e
	Szyj i		Szyj —(samo jądro wyrazu)
	Szyj i		Szyj om
	Szyj ę (podług autora *ą)*		Szyj e
	Szyj o		Szyj e
	Szyj ą		Szyj ami
	Szyj i		Szyj ach

gdzie znowu jądro *szyj* powinno być niezmienne, a końcówka *a*, *i*, *i*, *ę* i t. d. ma oddać właściwe sobie względy. — Za taką odmianą mówi foremność, analogija, duch języka, przekonanie i powaga historyczna, którą także przywiedziemy. A zatém ja mam prawo powiedzićć autorowi, że pisze błędnie, źle: *kolei*, *nadzie i*, *szyi*, *żmi i*, *Juli i (*chociaż używa sam *Julija* Gram. str. 108) i kaleczy język, bo z wyrazu najforemniejszego robi nieforemny; a tém samém nie zna jego ducha, o którym nieustannie wrzeszczy, jak kawki na Maryjackiej wieży.

Okażemy tę samę rzecz na przymiotniku zamieszczonym w dziele (Gr. str. 199) np. *wróbli.*—

L. p.	Wróbl i	L. m.	Wróbl e
	Wróbl ego		Wróbl ich
	Wróbl emu		Wróbl im
	Wróbl ego (i)		Wróbl e
	Wróbl i		Wróbl e
	Wróbl im		Wróbl emi
	Wróbl im		Wróbl ich.

Tu podobnie *wróbl* jest jądrem niezmienném, a końcówka pełni swoje przeznaczenie i deklinacyja jest dobra.—Kiedy ta jest dobra; przeciwko téj, którą napiszę, nikt nic powiedzićć nie może:

L. p.	Mój — (końcówki nie ma)	L. m.	Moj i
	Moj ego		Moj ich
	Moj emu		Moj ich
	Mój — (końcówki nie ma)		Moj i
	Moj im		Moj emi
	Moj im		Moj ich.

Jak tam było dobre jądro *wróbl*, na które wszyscy się zgodzili; tak tu jądro *mój* musi być dobre i nietykalne przez wszystkie przypadki: wyrzucanie zatém *j* z przed samogłoski *i* np. *mo i*, *mo im*, *mo ich*

jest rzeczywistym błędem, mówiącym wyraźnie: nie znają ducha swego języka, którzy *mo i*, *mo ich* i t. d. piszą. Wszyscy, wyjąwszy P. Deszkiewicza (i to w tém jednem tylko zdarzeniu) od dawna na następującą zgodzili się prawdę: *w żadnym wyrazie polskim niezłożonym*, *dwie jistotne samogłoski obok siebie stanąć nie mogą*. I czyliż zachowujemy tę prawdę, pisząc: *mo i*, *moich* i t. p.—Uderzmy się w piersi—i—poprawmy się.

Jeszcze tę rzecz chcę posunąć daléj.—Zróbmy sobie odmianę, jak się prawie powszechnie dziś używa, zaimka osobistego *on*, biorąc tylko formę do dowodzenia potrzebną:

L. p.	On	L. m.	Oni
	Jego		Ich
	Jemu		Im
	Jego		Ich
	Nim		Niemi
	Nim		Nich.

Rozłożywszy teraz zaimek *on* na pierwiastek, to jest na jądro i jego końcówkę, przedstawi się nam w następującym obrazie:

L. p.	On	— (końcówki nie ma)	L. m.	On	i	
	J	ego		—	ich	(jądra nie ma)
	J	emu		—	im	(jądra nie ma)
	J	ego		—	ich	(jądra nie ma)
	N	im		N	iemi	
	N	im		N	ich.	

Z takiego rozłożenia powyższego zaimka pokazuje się, że w drugim, trzecim i czwartym przypadku liczby mnogiéj nie ma żadnego jądra; a zatém, że my samę końcówkę, to jest: pozór zaimka za sam zaimek, za rzeczywistość bierzemy! Musiemy koniecznie przyznać, że tak jest, porównawszy odmianę przymiotnika *wróbli* i zaimek *mój*.—Gdyby teraz był ktoś tak szyderczo uszczypliwy i przysunął nam jądra: *ubog*, *krótk*, *sow*, *głup*' do końcówki *ich*, *im*, musielibyśmy ze wstydem przeczytać: *ubog ich*, *ubog im*, *krótk ich*, *krótk im*, *sow ich*, *sow im*, *głup ich*, *głup im*, co w zdaniu całkowitém lepiéj się wyjaśni np.: *ich braci starszych widzieliście; głupich starszych braci widzieliście*. Czuję to mocno, że nie powinniśmy, że nie możemy znosić takiéj podchwytnéj i podstępnéj złośliwości; piszmyż więc podług swojego przeświadczenia i prawdziwego ducha języka, jak następna forma wskazuje.—

L. p.	On	L. m.	Oni
	Jego		Jich
	Jemu		Jim
	Jego		Jich
	Nim		Niemi
	Nim		Nich,

a nikt nam nie powié, że źle piszemy. Mógłbym tę samę prawdę ze strony słów w podobném wystawić świetle; jednak, aby prędzéj rzecz skończyć, przystępuje do powagi historycznéj i Biblija Gdańska *d)*,

d) Konieczną widzę potrzebę cokolwiek więcéj powiedzieć o Bibliji Gdańskiéj i o jéj następnych wydaniach, ale tych tylko, które nam przedstawiają historyją współgłoski *j*; jéj życie w téj księdze i jéj wreszcie zupełne zniknienie. *Biblija Gdańska* wydana roku 1632 używa wszędzie i stale współgłoski *j* przed samogłoską *i* np. *moji*, *stoji*, *boji* i t. p. W zaimku osobistym *on*, w drugim przypadku, trzecim i czwartym liczby mnogiéj waha się, to jest: pisze dobrze niekiedy *jich*, *jim*, ale częściéj używa źle, to jest: *ich*, *im*.

Drugie wydanie Bibliji Gdańskiéj nastąpiło w Amsterdamie r. 1660. Tu zupełnie taż sama utrzymała się pisownia, co i w Bibliji Gdańskiéj pod względem *j*, a nawet cały przedruk co do stronnic nawet nie wiele się różni i niekiedy o parę wierszy lub kilka wyrazów tylko chybia w niektórych miejscach; stąd téż wydanie to prawie za Gdańską Bibliją uważać można.— Nikt dotąd tych Biblij dostatecznie pod względem *j* nie oznaczył. Pan Feliks Bentkowski (His. Lit. T. 2. str. 526) tak mówi: „Musiemy tu jeszcze wspomnieć, iż w tém wydaniu (z roku 1632) zgłoski, czyli dyftongi *ia*, *ie*, *io*, *iu*, jako téż *ay*, *ey*, *iy*, *oy*, *uy*, *yy*, nie w ten sposób są drukowaze, lecz wszędzie przez *j*, jako to: *moja*, *jutro*, *jeszcze*, *mój*, *twój*, *swój*, *stryj*, *bij*, *wuj* i t. d., czego nietylko w żadnéj innéj edycyji biblji, ale i w innych księgach nie używano, *lubo na obronę téj pisowni wiele powiedzieć można*."— Skreślając znowu Bibliją Amsterdamską (z roku 1660) tenże (His. Lit. T. II. str. 529) mówi: „W przedrukowaniu tém tak ściśle trzymano się bibliji gdańskiéj Paliura, że nietylko zachowano tekst ściśle i pisownią nawet co do dyftongów *aj*, *ej*, *ij*, *ja*, *jo* i t. d., ale téż format tak dalece, że karta z kartą się zgadza, wyjąwszy niektóre strony, gdzie o jeden lub kilka wyrazów w przeniesieniu jest różnica."—Tu lekkie spostrzegamy skrzyżowanie się P. Feliksa Bentkowskiego. Przy gdańskiéj bibliji mówi, iż jéj pisowni w żadnéj edycyi nie naśladowano; przy amsterdamskiéj powiada, iż ściśle, pisownią nawet *j* zachowano; i to ostatnie zdanie jest prawdziwe. Widziemy stąd najwyraźniéj, iż tylko przez zapomnienie, przez pomyłkę ta sprzeczność wynikła, i dla tego jéj za błąd nie poczytuję.— Lecz tu właściwie idzie o zgłoskę *ji*.—Mam to przekonanie, że P. Feliks Bentkowski niezawodnie ją widział, ale odkrywać całéj prawdy nie chciał, boby wówczas (w roku 1814) całą rzecz zepsuł; wolał przeto mniéj drażliwą część odsłonić i przemówić za nią w sposób wątpliwy: *lubo na obronę téj pisowni wiele powiedzieć można*", zostawiając resztę dalszemu czasowi i innym późniéj piszącym. I nie omylił się na tém; piérwszy Feliński wystąpił w obronie *j*, ale tyle tylko , ile on wskazał.— PP. Jocher i Wiszniewski pod względem pisowni bibliji gdańskiéj poszli tylko za P. Bentkowskim; a właściwie do nich należało całą rzecz wyjaśnić, bo jim okoliczności czasowe już tego nie wzbraniały.

Trzecie wydanie Bibliji Gdańskiéj było w Hali Magdeburskiéj roku 1726. Tu wydawca już tak mówi: „Ortografia Gdańskiéy Edycyi odmieniła się niecokolwiek, kiedy się z dzisiejszym ortograficznym

do któréj P. Desz. się odwołuje, da nam żywe i oczywiste przykłady że *j* wtenczas stale używano, z małemi bardzo wyjątkami, które nawet za błąd drukarski poczytywać można. — Wyjątek następujący jest z Bibliji Gdańskiéj, stronnicy 608, którą P. Desz. czytał, jak zapewnia w rozprawach swojich na karcie 179. — Pisownią oryginału tak, jak w poprzedzających wyjątkach najwierniéj zachowuję:

Z Psalmu 109go.

21. Ale ty Panie, o Panie! *użyj* nademną litości dla Imienia twego; a iż dobre *jest* miłosierdzie *twoje*, *wyrwij*-że mię.

postanowieniem nie zgadza. Gdyby się zaś ta odmiana komu nie miała podobać, ten niech uważy, że się dotąd nauczeni względem zachowania ortografii nie zgodzili; przetoż choćby się i całe inna zachowała była, jednakby się tym nie wszystkim dogodziło. Szukano tedy i w tym tak potrafić, aby się, jeźli nie wszystkim, bynamniéy naywiętszéy części czytelników upodobało."—Widzimy stąd, że w tym czasie los współgłoski *j* znacznie się pogorszył; ale oraz i to widać, że miała swojich stronników.

Nareszcie w czwartéj edycyji roku 1738 w Królewcu tak pisze wydawca: „Co się tycze ortografii, tey po części według teraźniejszego zwyczaju przestrzegano, gdyż nie tylko wiele innych ksiąg Teologicznych na ten kształt tu iuż w druk podano; ale i *ci*, *którzy prenumeracye uczynili*, *tegoż od nas żądali*."

Przebiegliśmy losy *j* od najświetniejszego jéj czasu, aż do zupełnego jéj prawie zagładzenia, w którém prenumeratorowie osobiście żądali, żeby *j* wypędzić.—Przeciąg ten wynosi lat przeszło sto; widać że ta słaba istota ma za sobą prawdę, kiedy się mogła tak długo utrzymywać; kiedy znowu prawie w lat sto P. Feliks Bentkowski za połową jéj użycia nieśmiało, a ostrożnie przemówił; kiedy Feliński wystąpił, jako jéj obrońca, ale także w połowie.—Deputacyja, posuwając krok daléj, dowiodła, że zgłoskę *ji* podług analogiji pisać trzeba; lecz oraz powiedziała, że można *j* z przed *i* dla krótkości wyrzucać. Inny znakomity nasz autor i badacz jeszcze pierwéj przed Deputacyją w pismach swojich zgłoski *ji* używał z małemi odcieniami od mojego sposobu pisania. Nareszcie wystąpiło w ostatnich czasach mnóstwo rozpraw, artykułów o literze *j*, które znudziły czytelników. — Kto tu zawinił? czy nudzący, czy nudzeni?—Tego nie powiem!

Wszystko to dowodzi, że użycie spółki *j* musi się ustalić, jak sama jéj natura wymaga, jak prawda przekonywa, jak uczeni wydawcy Bibliji Gdańskiéj już w roku 1632 doskonale jéj użycie wskazali z małemi odmianami, jakieśmy wyżéj wymienili. Z tych przeto przyczyn mam nieochybną nadzieję, że ci moji ziomkowie, których Biblija Gdańska i pod względem religijnym obowiązuje, gdy się tego ukaże potrzeba, przez zamiłowanie języka, przez pamięć przodków naszych, przez oddanie czci należnéj wydawcom z roku 1632, w nowym przedruku zachowają piérwotną pisownią Bibliji Gdańskiéj, a tém dowiodą, że są miłośnikami prawy! Czyn ten nie będzie wstecznym postępem; zwrócą się tylko do prawdy, która, skoro tylko jest prawdą, zawsze jest nowa, świéża, bo nigdy się starzéć nie może.

22. Bomci *ja jest* ubogi y nędzny; a serce moje zranione *jest* we wnętrznościach mojich.
23. Jako cień, który *ustępuje*, uchodzić muszę; *zganiają* mię, *jako* szarańczą.
24. Kolana *moje upadają* od postu; a ciało *moje* wychudło z tłustości.
25. Nadto stałem się im pośmiewiskiem; gdy mię widzą, *kiwają* głowami swymi.
26. Wspomożże mię o Panie Boże *mój*; *zachowaj* mię według miłosierdzia swego.
27. Tak, aby poznać mogli, iż to ręka *twoja*, a, żeś ty Panie to uczynił.
28. Niechże oni *przeklinają*, ty błogosław; którzy powstali, niech będą zawstydzeni, aby się weselił sługa *twój*.
29. Niech będą przeciwnicy moji w hańbę obleczeni; a niech się *przyodzieją*, jako płaszczem, żelżywością *swoją*.
30. Będę Pana wielce wysławiał usty swymi, a w pośrzód wiela chwalić go będę.
31. Przeto, że stoji po prawéj stronie nędznemu, aby go wybawił od tych, którzy *osądzają* duszę *jego*.

Psalm 110.

1. Rzekł Pan Panu memu, siądź po prawicy *mojéj*, dokąd nie położę *nieprzyjaciół* twojich, podnóżkiem nóg twojich.
2. Łaską mocy *twojéj* pośle Pan z Syonu, mówiąc: *Panuj* w pośrzód *nieprzyjaciół* twojich.
3. Lud *twój* będzie dobrowolny, w dzień zwycięztwa twego, w ozdobie świętobliwości; a rozrodzi się płód *twój* z żywota, *jako* rosa na świtaniu.
4. Przysiągł Pan, a nie będzie tego żałował, mówiąc: Tyś *jest* kapłanem na wieki według porządku Melchisedechowego.
5. Pan po prawicy *twojéj* potrze króle w dzień gniewu swego.
6. Będzie sądził narody, y wszystko napełni trupami; potłucze głowę nad wielą ziem *panującą*.
7. Z strumienia na drodze pić będzie; przetoż wywyższy głowę.

Psalm 111.

1. Będę wysławiał Pana całym sercem, w radzie szczerych y w zgromadzeniu.
2. Wielkie sprawy Pańskie; *jawne* u wszystkich, którzy się w nich *kochają*.
3. Chwalebne y ozdobne dzieło *jego*; a sprawiedliwość *jego* trwa na wieki.
4. Pamiątkę cudów swojich uczynił, miłosierny, a litościwy Pan.
5. Dał pokarm tym, którzy się go *boją*, pamiętając wiecznie na przymierze *swoje*.

6. Moc spraw swojich *oznajmil* ludowi swemu, dawszy im dziedżictwo poganów.
7. Uczynki rąk *jego* prawda y sąd; nieodmienne są wszystkie przykazania *jego*.
8. Utwierdzone na wieki wieczne, uczynione w prawdzie y w szczerości.
9. Wykupienie posławszy ludowi swemu, przykazał na wieki strzédz przymierza swego; Święte y straszne *jest* Imię *jego*.
10. Początek mądrości *jest bojaźń* Pańska; rozumu dobrego *nabywają* wszyscy, którzy rozkazanie Pańskie czynią; chwała *jego* trwa na wieki.

Psalm 112.

Bojącym się Boga y szczodrobliwym *obiecuje* od Pana błogosławieństwo. Niezbożnych zazdrość dla szczęścia pobożnych wytyka, a iż się w nadziejey (w Amsterdamskiéj jest nadzieji) swey omylą, upewnia.

1. Błogosławiony mąż, który się Pana boji, a w przykazaniach *jego* ma wielkie kochanie.
2. Możne będzie na ziemi nasienie *jego*; rodzina szczérych błogosławiona będzie.
3. *Majętność* y bogactwa są w domu *jĕgo*, a sprawiedliwość *jego* trwa na wieki.
4. Szczerym w ciemnościach światłość wschodzi; Łaskawy, miłosierny y sprawiedliwy *jest* Bóg.
2. Dobry człowiek litościwym *jest* y pożycza; a rzeczy swe *miarkuje* rozsądkiem.
3. Bo na wieki nie będzie poruczony; w pamięci wiecznéj będzie sprawiedliwy.
4. Słysząc złe nowiny, nie boji się, stateczne serce *jego* dufa w Panu.
5. Umocnione serce *jego* nie boji się, aż ogląda pomstę nad *nieprzyjacioły* swymi.
6. Rozprasza y dawa ubogim; sprawiedliwość *jego* trwa na wieki; róg *jego wyższy* się w sławie.
7. Widząc to niepobożny będzie się gniewał, zębami swymi zgrzytał y schnąć będzie: żądość niepobożnych zginie.

I w cóż się teraz obrócą wyrażenia P. Desz., który (Roz. str. 202) mówi: „Tenże (to jest Żochowski) za Mrozińskim chciałby pisać *zgraji*, *szyji*, *moji* i t. p., ale jak tego dokaże? kiedy tak prawie nikt nie pisał; oprócz tego nie ma i potrzeby, bo u nas zamiana głosek, jich rozkładanie się i zléwanie jest ciągłe.” *(D. c. n.)*

